



MALBAT

znaczy grzech

Zuzanna
Gromadzińska

editio
Red

beYA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Adrian Matuszkiewicz

Redakcja: Dominika Bronk Polonistyczna Krucjata

Korekta: Anna Smutkiewicz

Projekt okładki: Justyna Knapik

Grafika na okładce wykorzystana za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: editio.pl (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

editio.pl/user/opinie/malba3

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-3790-1

Copyright © Helion S.A. 2026

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Rozdział 1

Alice

– Otwórz oczy. – Spokojny, męski głos przedarł się przez sen. Wiedziałam, że ktoś chce mnie obudzić, lecz za wszelką cenę próbowałam uciec od rzeczywistości. – Słyszysz mnie? – powtórzył ktoś nieco głośniejszym głosem, przesuwając palcami po mojej obolałej głowie.

Uchyliłam powieki i rozejrzałam się po szpitalnym pokoju. Jasne światło i sterylna biel ścian poraziły moje oczy.

– Słyszę – wyszeptałam, zdezorientowana. – Gdzie są Liam i Christian?

– Słucham?

Spróbowałam przełknąć ślinę, ale okazało się to niemożliwe. Gardło miałam ściśnięte i suche jak wiór.

– Liam, mój synek – wymamrotałam. – I Christian... Albo Neil. Gdzie jest Neil?

– Nie rozumiem – odparł mężczyzna z zaskoczeniem.

Zakręciło mi się w głowie.

– Astrid? Chcę do Astrid...

– O czym ty mówisz, Alice?

– O swojej rodzinie.

– Nie znam tych ludzi. – Lekarz, przypominający mi kogoś, wyglądał na szczerze zmartwionego.

Sfrustrowana dźwignęłam się na łokciach. Coś było bardzo nie tak, czułam to całą sobą, choć nie umiałam powiedzieć dlaczego. Chaos w głowie mieszał się z narastającym lękiem. Nie wiedziałam, co się stało ani gdzie podziali się moi bliscy.

– Malbat... – wychrypiałam wreszcie.

– Co?

– Malbat. Moja rodzina. Gdzie oni są?

– Nie istnieje coś takiego jak Malbat... Cokolwiek to znaczy. – Mężczyzna podygotał się po karku. – Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

Wybałuszyłam oczy. Pokój zawirował, jakbym miała do czynienia z najpotworniejszym kaczem w życiu. Nie potrafiłam zdecydować, czy bardziej chce mi się pić, czy wymiotować.

– Jak to nie istnieje...

– Alice, miałaś wypadek samochodowy.

– Słucham?

– Jesteś policjantką, pamiętasz? – Zerknął na mnie z wahaniem. – Pamiętasz w ogóle cokolwiek sprzed wypadku?

– Jakiego wypadku...

– Jechałaś samochodem na komisariat. Wypadłaś z drogi i uderzyłaś w drzewo.

– O czym ty mówisz? – Raptownie poderwałam się do siadu.

– Byłaś w śpiączce farmakologicznej przez kilka tygodni.

– Nie. – Pokręciłam głową, czując, jak kosmyki przyklejają mi się do spoczonego karku. – Nie, to niemożliwe... Gdzie jest Liam? Gdzie jest Christian?

– Alice, oddychaj głęboko. Ci ludzie nie istnieją.

– Ale Malbat...

– Przypuszczam, że to tylko wytwór twojej wyobraźni.

Żałośnie rozchyliłam usta. Chciałam o coś zapytać, lecz na próżno – słowa uwięzły mi w gardle, jakby organizm uznał, że dalsze mówienie jest ponad jego siły. Nie pozostało mi nic innego, jak po prostu gapić się na lekarza.

Ramiona bezwładnie opadły na koidrę, a nogi stały się ciężkie i obce, jakby nie należały do mnie. Zamrugałam kilka razy, a gdy dolna warga zaczęła mi drżeć, zwiastując wybuch płaczu, lekarz opadł na moje łóżko i wybuchnął histerycznym śmiechem.

Co za duren.

Mason, zapewne zaalarmowany hałasem, szybko pojawił się w progu pokoju. W jednej ręce trzymał paczkę żelków, w drugiej puszkę coli.

– Co się dzieje? – zapytał i wrzucił do ust kilka kolorowych misiów.

Choć szelest plastikowego opakowania niemal boleśnie działał mi na nerwy, poczułam, jak zalewa mnie fala ulgi. Mason był zbyt realny, zbyt irytująco namacalny, by okazać się wytworem mojego rozchwianego umysłu.

Głośne mlaskanie tylko przypieczętowało tę myśl. Gruby istniał naprawdę.

– Nic się nie dzieje – wydusił... *Benjamin*, wciąż zwijając się ze śmiechu. – Alice się obudziła.

Mason odetchnął pełną piersią.

– No nareszcie. – W jego głosie dało się wychwycić dziwne rozluźnienie, jakby właśnie cholernie mu ulżyło. – Chyba trochę przesadziliśmy z dawką...

Zmrużyłam ciężkie powieki, próbując wysilić umysł, lecz nim zdążyłam o coś zapytać, przyjaciel wyszczerzył zęby.

– Chcesz się napić? – zapytał i uniósł puszkę, aż napój chlupnął po jej ściankach i zaczął skapywać na podłogę.

Oddałabym duszę diabłu za choćby jeden łycek.

– Poproszę – jęknęłam błagalnie.

– To idź do kuchni i sobie weź – zarechotał, lecz gdy tylko dostrzegł moją minę, przewrócił oczami, zbliżył się do łóżka i podsunął mi coś pod nos. – Tylko sobie jaja robiłem, trzymaj.

Przyjęłam od niego napój, kompletnie niewzruszona faktem, że jeszcze chwilę temu pił z tego samego otworu. Prawdopodobnie zanim dotarł do mojej sypialni, na jego drodze stanęli inni członkowie Malbatu i każdy ukradł łyk albo dwa. W rezultacie moja ślina właśnie zmieszała się z DNA większości domowników.

Higienicznie? Niekoniecznie.

Rodzinnie? Bardzo...

– Jak się czujesz? – zapytał Benny, gdy odsunęłam puszkę od ust i oddałam ją Masonowi.

Słodki napój złagodził dyskomfort w gardle, ale nie pomógł na pulsujące łupanie w czaszce. Odnosiłam wrażenie, że moje skronie zaraz pękną pod naporem bólu.

– Strasznie dudni mi w głowie – wyznałam cicho, masując skórę między brwiami.

Benjamin popatrzył z wyrzutem na Masona, który powoli wycofywał się w kierunku drzwi.

– Nic dziwnego – stwierdził lekarz z irytacją.

– Jak to?

– Możesz być otumaniona jeszcze przez kilka godzin.

Tym razem to ja zerknęłam na Grubego ze zmarszczonymi brwiami.

– Dlaczego? – mruknęłam do doktora, cały czas mordując przyjaciela wzrokiem.

Jeszcze nie wiedziałam, jaki numer odwalił, ale byłam pewna, że... coś odwalił. Kretyn zachowywał się tak, jakby sam doskonale zdawał sobie sprawę, że zrobił coś naprawdę głupiego.

Nie znałam jeszcze szczegółów, nie miałam pojęcia, za co dokładnie, ale już czułam w sobie narastającą chęć, by go rozszarpać.

– Wczoraj Christian, Neil i Mason dorzucili ci do herbaty środki usypiające – wyznał Benny.

– Słucham?! – wrzasnęłam dokładnie wtedy, kiedy Mason zniknął w korytarzu. Usłyszałam jeszcze szelest opakowania od żelków, zanim echem poniosły się kroki na schodach.

– To nie byłby taki głupi pomysł, gdyby nie to, że nic ci nie powiedzieli – westchnął Benjamin. Lekkie rozbawienie w jego głosie tylko mnie dobiło. – No i pomyliły im się dawki. Spałaś czternaście godzin.

– Co proszę?!

– Nie złość się na nich. Chcieli dobrze.

– Ci debile zawsze chcą dobrze! – Agresywnym ruchem odrzuciłam kołdrę i zerwałam się z łóżka. – A później kończę z ptakiem o imieniu Furia, gryzącym ludzi po nogach, albo jestem nieprzytomna przez pół doby!

– Furia nie gryzie, bo nie ma zębów – wymruczał ostrożnie. – No a połowa doby to dwanaście godzin...

Postanowiłam mu nie odpowiadać. Musiałam oszczędzać energię na morderstwo ze szczególnym okrucieństwem, które planowałam popełnić. Gdyby żądni krwi psychopaci marnowali czas na kłótnie z byle kim, na pewno zabrakłoby im sił na znęcanie się nad ofiarami.

Zostawiłam więc Benny'ego w spokoju i ruszyłam do wyjścia z sypialni.

Stawiałam kroki ostrożnie, pilnując, by nie wyrznąć orła. W głowie miałam cholerną karuzelę, a w sercu palące pragnienie rozszarpania na strzępy trzech pieprzonych muszkieterów, których usłyszałam niemal od razu, gdy zbliżyłam się do schodów.

– Obudziłam się! – zawołałam ostrzegawczym tonem. – I schodzę na dół.

Od razu zamilkli, a ja nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że właśnie patrzę po sobie z przerażeniem.

– To groźba?! – odkrzyknął Mason.

– Zdecydowanie! Już nie żyjecie!

Zeszłam z pierwszego stopnia i zachwiałam się niebezpiecznie. Gdyby nie Benjamin, który mnie dogonił i w porę chwycił za łokieć, spadłabym na sam dół. Niewiele jednak mnie to obeszło – pomimo fatalnego samopoczucia rozdrażnienie skutecznie pchało mnie do działania.

Gdy wraz z Bennym zeszliśmy na pierwsze piętro, podziękowałam mu za pomoc i pewnym krokiem ruszyłam do salonu. Banda odważnych gangsterów zdążyła już gdzieś spieprzyć, a jeżeli intuicja mnie nie myliła – schowali się właśnie tam.

Oczywiście miałam rację.

Neil założył kaptur na łeb, jakby miało go to uchronić przed moim gniewem, a Mason wepchnął do ust całą garść żelków. Być może traktował ten posiłek jako ostatni w życiu i nie chciał, żeby choć jeden owocowy miś się zmarnował.

– Dzień dobry, kochanie. – Christian wyciągnął do mnie ręce, ale widząc wściekłość wymalowaną na mojej twarzy, od razu opuścił je wzdłuż spiętego ciała. – Pięknie wyglądasz.

– Nie tak miałeś powiedzieć – szepnął blondyn, zachowując między nami bezpieczną, według niego, odległość. – Ćwiczyliśmy to kilka razy, więc mów, do cholery.

Christian odchrząknął nerwowo.

– Alice – zaczął romantycznym tonem – przypominasz słonecznik skąpany w blasku wschodzącego słońca, skroplony pachnącą rosą...

– Zamknij się.

– Okej. – Znow uniósł dłonie, tym razem w poddańczym geście. – Jak sobie życzysz, skarbie.

– Zaraz się porzgam.

– W sensie od tych żenujących komplementów, które wymyślaliśmy przez dwie godziny, czy tak serio masz ochotę puścić pawia?

Powoli przekreśliłam głowę, po czym zmierzyłam Neila takim wzrokiem, że odruchowo przestąpił z nogi na nogę i zaczął bawić się troczkami od bluzy.

– Ciekawe, czy gdybym wystarczająco mocno je pociągnęła... – Wskazałam na nie delikatnym ruchem, niby od niechcenia. – Czy kaptur zacisnąłby się wtedy tak mocno, że byś się udusił.

Neil przełknął ślinę, zerknął na Christiana i szepnął:

– Chyba nadal jest zła...

– Chyba?! – rzuciłam wzburzona. – Debile, co wyście znowu wymyślili?!

– Próbowaliśmy tylko...

– Prawie mnie zabiliście!

– Bez przesady – odparł Mason z pełnymi ustami, ale gdy tylko przeniosłam na niego spojrzenie, od razu odwrócił wzrok i wbił go w puste już opakowanie.

– Dawka leków nie była śmiertelna – wtrącił Benjamin, nieświadomie ustawiając się w kolejce do zamordowania. – Ale wasze zachowanie było skrajnie nieodpowiedzialne. Zresztą jak zwykle.

No dobra, może jednak daruję mu życie.

– Słyszałaś? Dawka nie była śmiertelna – powiedział Christian z dumą, jakby oczekiwał cholernych gratulacji, że nie zabił swojej kobiety.

– Ale podawanie komuś jakichkolwiek środków usypiających jest...

– Cicho, Benny – burknął Neil. – Nie wtrącaj się.

– Słucham? – Lekarz uniósł brew i buntowniczo oparł dłonie na biodrach. – To ja od kilku godzin próbowałem ją dobudzić! Dopiero teraz mi się udało, i to jeszcze na skutek wywołania reakcji szokowej!

– Spisałeś się, doktoru.

– Jak mogliście dodać mi czegoś do picia? – syknęłam, pilnując, by mężczyźni nie zboczyli z wiodącego tematu. – Co to ma w ogóle znaczyć?!

– Chcieliśmy, żebyś trochę odpoczęła... – Christian popatrzył na mnie przeprasząco. – Ostatnie dni były bardzo stresujące.

– I to jest powód, żeby uśpić kogoś na czternaście godzin?

– Miało być na krócej, ale Neilowi pochrzaniły się proporcje.

– Gratuluję – warknęłam. – Przez was ledwo trzymam się na nogach.

– No nie obrażaj się, kwiatuszku! – zawołał Christian, gdy odwróciłam się na pięcie i obrałam kurs na korytarz.

– Kwiatuszku kwitnący, ozłocony blaskiem słońca! – produkował się Neil, wchodząc na wyżyny swoich marnych zdolności poetyckich.

– Odczepcie się ode mnie.

– Poczekaj, Alice! – Mason nie odpuszczał. – Mamy dla ciebie niespodziankę! Zacisnęłam dłoń w pięści i łypnęłam na trójkę przyglupów ponad ramieniem.
– Nie ma mowy. Nie chcę żadnych niespodzianek – odpowiedziałam ostro. – Wasza ostatnia niespodzianka biega po domu i sra, gdzie popadnie, a ja łażę za nią i to sprzątam.

– Jeszcze nie nauczyła się robić do kuwety.

– To dziki ptak, a nie kot, do jasnej cholery.

– Wolałabyś dzikiego kota? – zaśmiał się Christian.

Zamknęłam oczy i wzięłam porządną, uspokajający wdech.

– Nie. Wolałabym, żebyście po prostu nie dosypywali mi środków usypiających i nie sprowadzali dzikiego ptactwa do domu. Czy wymagam zbyt wiele?

Neil klasnął w dłoń z podejrzanym entuzjazmem. Nie byłam zachwycona jego reakcją – kiedy Neil się z czegoś cieszył, miałam niemal stuprocentową pewność, że ani trochę mi się to nie spodoba.

– Więc będziesz zadowolona z naszej nowej niespodzianki! – oznajmił wesoło.

– Wątpię.

– Żadnych kradzionych zwierząt, żadnych leków na sen.

– Fantastycznie – odparłam z ironicznym uśmiechem. – Brawo, chłopcy.

– No już się nie wkurzaj. – Christian odważył się podejść bliżej, choć wciąż patrzył na mnie nieufnie, trochę jakby zbliżał się z patykiem do rozwścieczonej zmił. – Zamknij oczy – poprosił i delikatnie zasłonił mi oczy dłońmi.

Sapnęłam cicho, bo chociaż nie miałam ochoty na ich durne pomysły, które zazwyczaj doprowadzały mnie do szewskiej pasji i stanu przedzawałowego, dotyk Christiana zadziałał na mnie rozluźniająco.

Skapitulowałam i dałam się poprowadzić długimi korytarzami. Już po chwili zaczęły docierać do mnie coraz intensywniejsze zapachy, wywnioskowałam więc, że zbliżamy się do kuchni.

– Tadam! – zawołał rozemocjonowany Mason, gdy Christian odsunął rękę od mojej twarzy.

Potrzebowałam chwili, by przyzwyczaić oczy do światła, lecz kiedy wreszcie wyostrzyłam wzrok i rozejrzałam się po kuchni, poczułam, jak kąciki ust same mi się unoszą.

Dostrzegłszy moją reakcję, Christian, Neil i Mason równocześnie odetchnęli.

– To dla mnie? – Wskazałam suto zastawiony stół.

Rogaliki, a w osobnych miseczkach dżem, masło orzechowe i czekolada. Do tego mnóstwo owoców, naleśniki z przeróżnymi dodatkami, tosty francuskie, jajka z bekonem i babeczki, które ułożyły się w uroczy napis „przepra”.

Przechyliłam głowę i zachichotałam pod nosem.

– A gdzie „szamy”? – zwróciłam się do chłopaków.

Mój udawany mąż i Neil popatrzyli na Masona oskarżycielsko.

– Nie mogłeś, kurwa, poczekać? – Blondyn popukał się środkowym palcem w czoło. – Zbawiłoby cię pięć minut, żeby Alice zobaczyła, jak się napracowaliśmy?

– No przecież widzi – prychnął winowajca. – Nawet bez tego „szamy” wie, że to przeprosinowe śniadanie, nie?

Och, jasne, że tak!

Splotłam przed sobą dłonie i lekko uniosłam się na palcach, robiąc przy tym swoją słynną słodką minę. Wyćwiczyłam ją do perfekcji – ten wyraz twarzy zatytułowany „Wściekłość minęła, znów jestem waszą małą, kochaną Alice. Macie mnie przytulić. Teraz”.

I tak właśnie się stało. Już po chwili tonęłam w uścisku Christiana, a do niego dołączyli Neil i Mason, najwyraźniej chcący wynagrodzić mi swoje debilne zachowanie.

Gdy wreszcie łaskawie dałam się udobruchać, usiadłam przy stole i uśmiechnęłam się do chłopaków, kiwając brodą na puste krzesła.

– Siadajcie. Przecież nie zjem tego sama.

– Wiesz... – Blondyn odchrząknął i zarzucił sobie ręce na kark. – Jeżeli chcecie zostać sami...

– We dwójkę też tego nie zjemy – zauważyłam.

– Nie mówiłem, że będziecie to jeść.

Nim zdołałam odpowiedzieć czy choćby przewrócić oczami, demonstrując, że dowcipy o naszym ostatnim kuchennym numerku ani trochę mnie nie bawią, Mason odsunął krzesło i z szerokim uśmiechem zasiadł do stołu.

No i proszę – to się nazywa przyjaciół. Nawet wizja, że z Christianem znów zaczniemy pieprzyć się na blacie, nie przeszkodziła mu w wyżerce stulecia.

Gruby nałożył na talerz kilkanaście kawałków bekonu, układając je w starannie zbudowany stosik, Neil zapychał się tostem i naleśnikami z syropem klonowym, a Christian sączył kawę, co jakiś czas odrywając kawałek babeczki i wrzucając go do ust.

– Ominęło mnie coś ważnego? – zapytałam i sięgnęłam po dzbanek z sokiem.

– Nie, bez obaw. – Mason niedbale machnął ręką. – Alberto odwołał wczorajszą radę.

– Z mojego powodu?

– Mówił, że wszyscy mają być obecni.

– No tak. Nie przypuszczał pewnie, że moglibyście być tak głupi, żeby uśpić mnie przed ważnym spotkaniem.

– Myśleliśmy, że leki zaczną działać trochę później, ale ty od razu padłaś jak długi.

– Świetnie – mruknęłam.

– No i Nancy słabo się czuła – westchnął ponuro Mason. – Od wczoraj leży w łóżku, jeszcze nawet nie widziała szefa na oczy. Te mdłości niedługo ją wykończą.

– Trzeba było nie robić mojej siostrze dzieciaka.

– Jeszcze tego nie zaakceptowałaś, do cholery? – Gruby zmarszczył brwi i popatrzył na Neila z irytacją.

– Zaakceptowałem. Gdyby było inaczej, już byś nie żył.

– I co? Pozbawiłbyś dziecko ojca?

– Nie. Dlatego jeszcze żyjesz.

– Ale cieszysz się? – droczył się Mason. – Chociaż trochę?

– Że Nancy jest ślepa, głucha i ma problemy z węchem, skoro poszła z tobą do łóżka?

– Spierdalaj.

– Z tego się nie cieszę, raczej mnie to przeraża – ciągnął Neil ze złośliwym błyskiem w oku. – Ale jeżeli chodzi o waszego bąbelka... – Uśmiechnął się do siebie, dżgając naleśniki widelcem. – Będę wujkiem. Pewnie, że się cieszę.

– Miło to słyszeć.

– Oby tylko nie było podobne do ciebie.

– Dzięki, dupku.

– Możemy wrócić do poprzedniego tematu? – odezwał się Christian, przerywając tę uroczą konwersację. Następnie popatrzył w moją stronę i położył mi rękę na udzie. – Narada odbędzie się dzisiaj.

– Dzisiaj? – Poruszyłam się nerwowo na krześle. Zaskoczyło mnie, że chłopcy mówią o tej ważnej rozmowie w tak luźny sposób. Naciągająca konfrontacja odrobinę mnie stresowała. – O której?

– Przypuszczam, że gdy tylko Alberto dowie się, że już wstałaś. – Christian rozejrzał się po kuchni, jakby właśnie sobie o czymś przypominał. – Właściwie to gdzie jest Benjamin?

– Pewnie został w salonie, a co? – Neil zamlaskał, przeżuując kawałek bekonu, który ukradł Masonowi z talerza.

– Wypadałoby go zaprosić na śniadanie, no nie?

– No nie.

– Neil...

– Przecież żartuję – zaśmiał się i wyciągnął telefon. – Zaraz do niego napiszę. Uniosłam brew, nie kryjąc zdziwienia.

– Benjamin ma komórkę?

– Dostał nową, żeby był z nim kontakt w tej cholernej willi. Mieliśmy już dość latania z góry na dół – wyjęczał Mason zbolalym głosem. – Wiesz, ile schudłem przez to bieganie?

Podrapałam się po głowie, taksując go wzrokiem, który ostatecznie zatrzymał się na talerzu pełnym bekonu. Porcja wyglądała, jakby miała wystarczyć dla co najmniej kilku osób. Popatrzyłam więc na przyjaciela tak wymownie, że skrzyżował ręce na piersi i burknął:

– Przecież śniadanie musi być konkretne. Skąd inaczej mieć energię na cały dzień?

Już układałam w głowie przemowę o diecie nieco zdrowszej niż bekon podany z... bekonem, gdy do kuchni wpadł lekarz.

Dyszał ciężko, jakby biegł tu z całych sił. Policzki miał lekko zaróżowione, a czoło zroszone potem.

– Co jest? – Christian natychmiast się spiął. Wbił w doktorka zaniepokojone spojrzenie, a dłoń zawiesił przy pasku spodni, w każdej chwili gotowy chwycić za broń.

Benjamin rozejrzał się po kuchni.

– Dostałem wiadomość, że Mason uciął sobie palec podczas śniadania – wyjaśnił, poprawiając przekrzywione okulary na nosie.

Wszyscy – jak na rozkaz – przewróciliśmy oczami i odwróciliśmy głowy w kierunku Neila.

– Tak napisałem? – Blondyn rznął głupa z niebywałą precyzją. W zasadzie robił to codziennie, więc jego talent nie powinien mnie dziwić. – Chodziło mi o to, że śniadanie czeka. Chcesz naleśnik?

Benny złączył kciuki i palce wskazujące, po czym wziął głęboki wdech. Ta improwizowana medytacja – czy cokolwiek miało to być – nie trwała jednak długo. Już po dwóch sekundach zmienił pozycję: złożył ręce w modlitewnym geście, a na końcu wyprostował plecy i pokazał Neilowi fakena.

No, no... z takim zaangażowaniem i sprawnością w dłoniach mógłby bez problemu opanować język migowy.

– Ale z ciebie palant – rzucił wreszcie do blondyna, odsunął wolne krzesło i usiadł przy stole.

Po kwadransie na blacie nie został nawet okruszek. Panowie zżarli wszystko, nawet przeprosinowe babeczki, które zapewne przygotowali z myślą, że to ja ich skosztuję. Chyba... albo i nie. No cóż – facetów z Malbatu zdecydowanie łatwiej ubrać, niż nakarmić.

– Jesteście gotowi na spotkanie z szefuńciem? – zapytał Christian, gdy nadjedzeni osunęliśmy się na krzesłach.

Neil skinął głową.

– Gotowi – odpowiedział za naszą czwórkę.

Nie protestowałam, choć nie byłam pewna, czy podzielam zdanie przyjaciela.

Rozdział 2

Alice

Trudno opisać emocje, które towarzyszyły mi podczas drogi z kuchni do salonu. Dreptałam z tyłu, nawet nie próbując dogonić chłopaków.

Czy obawiałam się Alberta? Nie. Przecież przyjechał tu, żeby nam pomóc. Doskonale o tym wiedziałam, a jednak czułam pewnego rodzaju niepokój. Nie tak oczywisty, bym potrafiła go wyjaśnić, odnaleźć jego źródło... Lecz na tyle silny, że zaciskał mi macki na żołądku.

Czy możliwe, że moja relacja z byłym szefem Malbatu odgrywała tu rolę? Czy nieświadomie przenosiłam odrazę, którą żywiłam do Hammera, na tego niewinnego człowieka?

Alberto zjawiał się tak niespodziewanie... Ze wszystkich sił starałam się być mu za to wdzięczna. Miał się okazać naszym bohaterem i właśnie w ten sposób powinnam go traktować, nawet jeśli nie wiedziałam, czego tak naprawdę się spodziewać.

Ucisk żołądka nieco zelżał, gdy po przekroczeniu progu najpierw usłyszałam, a chwilę później zobaczyłam rozradowaną Nancy.

Stała na palcach i oplatała szyję szefa tak mocno, że przez chwilę nie byłam pewna, czy zaraz znów nie zostaniemy bez dowódcy.

– Kiedy ostatni raz cię widziałem, byłaś głupiutką nastolatką, a teraz? – Mężczyzna odchylił głowę i uśmiechnął się do niej z taką czułością, że poczułam przyjemne ciepło pod skórą. – Wyrosłaś na piękną kobietę.

– Może i jest piękna, ale inteligencją wciąż nie grzeszy – rzucił Neil bez skrępowania, rozwalając się na krześle. A raczej krzesłach, bo na jednym postanowił usiąść, a na drugim ułożyć nogi.

Alberto jedynie machnął na niego ręką. Przypuszczałam, że był zbyt zajęty witaniem się z Nancy, by zwracać uwagę na jej przygłupiego brata.

– Możesz w to uwierzyć? – Dziewczyna wskazała na brzuch i podskoczyła radośnie. – Noszę w sobie dziecko! Niesamowite!

– To prawda. – Alberto pokiwał głową. – Jestem przeszczęśliwy, że wszystko ci się układa, słoneczko.

Nogi się pode mną ugięły.

Okej, może i przed chwilą zostałam nazwana... kwiatem skąpanym w porannej rosie czy jakoś tak, ale w słowach Alberta wybrzmiało coś innego. Coś twardego i miękkiego zarazem. Coś, co łamało wszelkie zasady logiki. Coś, co przypominało najdelikatniejszą pierzynę, najczulszy gest... Nigdy nie doświadczyłam ojcowskiej miłości, nie znałam takiego zjawiska.

A jednak w trzymiga zapragnęłam tego nieuchwytnego ciepła.

– Niezupełnie jest tak, jak mówisz. – Głos Nancy wyrwał mnie ze stanu zawieszenia.

Gdy oprzytomniałam i uniosłam wzrok, dziewczyna wciąż przyciskała policzki do piersi mężczyzny.

– Ostatnio nic się nie układa – wymamrotała ponuro. – Słyszałeś już o Edvardzie?

– Tak, chłopcy co nieco mi opowiedzieli.

Nancy posmutniała jeszcze bardziej.

– Wstydę się tego, że spędziłam z nim kilka lat życia.

– Dziecko, to on powinien się wstydzić. – Alberto nieznacznie się odsunął, by móc spojrzeć prosto w jej zmartwione oczy. – Nie możesz obwiniać się za to, że spotkałaś na swojej drodze potwora.

– Wiem. Ale nieświadomie ściągnęłam na nas kłopoty, z którymi teraz nie możemy sobie poradzić – odparła cicho. – Dorosli to co innego, ale Liam i to małżeństwo... – Poglądziła się po brzuchu. – Dzieci są tylko dziećmi. Nie powinny uczestniczyć w wojnach dorosłych.

Mężczyzna uśmiechnął się gorzko, a zmarszczki na jego pocziwej twarzy znacznie się pogłębiły.

– To prawda, Nancy – przyznał miarowym tonem. – Właśnie dlatego zrobimy wszystko, by w jak najmniej odczuły to, co się dzieje. A ty, moja droga, masz coś niesamowitego.

– Co takiego?

– Wolę walki. W przyrodzie nie ma nic silniejszego niż matka walcząca o bezpieczeństwo i życie swojego dziecka. Tak działa piękno natury.

– Jasne... – Wzruszającą atmosferę przerwał irytujący rechot... wiadomo kogo. – Pomijając na przykład chomiki. One zjadają swoje młode.

– Neil!

Blondyn, ewidentnie znudzony, uśmiechał się drwiąco.

– No co? Tak tylko mówię.

– Głupi jesteś. – Nancy wydeła dolną wargę i skrzyżowała ręce na piersi. – Broiłabym swojego małżeństwa jak lwica.

– To akurat mit. – Tym razem Neil przeciągnął się na krześle i ziewnął. – Lwice pozwalają zagryźć swoje potomstwo, gdy nowy samiec przejmuje władzę nad stadem.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – Alberto uniósł brwi.

– Oglądam Animal Planet.

Chyba nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Nie żeby w programach o zwierzętach było coś dziwnego, ale nie znam nikogo, kto w obliczu zagrożenia potrafiłby się relaksować, oglądając kanał przyrodniczy. Myślałam, że to ja mam nietypowe sposoby radzenia sobie ze stresem. Tymczasem Neil oglądał materiały o chomikach i lwach, podczas gdy jego walnięty szwagier próbował nas zabić.

Fantastycznie.

Alberto chyba również nie do końca to pojmował, bo jego brwi przez dłuższy czas nie wracały na swoje miejsce. Dopiero po kilkunastu sekundach rozluźnił się, uśmiechnął i pokręcił głową z rozbawieniem.

– Nic się nie zmieniliście – stwierdził, podchodząc do stołu. Oparł dłonie na blacie, po czym odkasznął i nieco spoważniał. – Dobra, dzieciaki. Najwyższa pora zaczynać. Neil, skocz po Rachel i Astrid.

– Dlaczego ja? – Blondyn skrzywił się z niezadowoleniem. – Przecież Christian stoi, niech on idzie.

I wtedy wydarzyło się coś absolutnie niepojętego. Coś, co wykraczało hen daleko poza granice znanej mi rzeczywistości. Coś, co śmiało można by porównać do aktu stworzenia świata, zamienienia wody w wino albo innego biblijnego czadu.

Alberto nie musiał podnosić głosu. Wystarczyło, że pochylił się nad stołem, spojrzał na Neila tak, jak nikt nie patrzył na niego od bardzo dawna, i powtórzył:

– Neil, skocz po Rachel i Astrid.

Nie protestował. Nie ociągał się. Nie żartował. Po prostu wstał, poprawił bluzę i wyszedł z salonu, nie rzuciwszy nawet najcichszego przekleństwa pod nosem.

Choć uważałam to za coś niesamowitego, nie miałam czasu się nad tym zastanawiać. Już po chwili Neil wrócił w asyście nie tylko Astrid i Rachel, lecz także małego Liama.

Chłopiec od razu wgramolił się Christianowi na kolana.

– Wiem, że niektórzy z was mnie nie znają, a inni mogą mnie nie pamiętać. – Szef poczochnął Liamowi jasne włosy. – Przyjmijmy, że mam na imię Alberto. Mojego imienia się nie zdrabnia, nie jestem Bertem, Albercikiem, albinosem ani innym albatrosem. Po prostu Alberto. Z kolei moje nazwisko jest równie istotne jak wasze. Czyli ani trochę. Jakies pytania?

Zanim zdążyłam przetworzyć jego słowa, ręka Benny'ego wystrzeliła do góry.

– Tak? – Alberto uśmiechnął się życzliwie.

– Więc nasze nazwiska mają pozostać tajemnicą?

– Tu nie chodzi o tajemnicę. – Astrid parsknęła śmiechem. – Ja na przykład dopiero niedawno dowiedziałam się, że Christian ma na nazwisko Collins.

– Ja też – zachichotała Rachel.

No i ja... Ale nie zamierzałam mówić tego na głos.

– Doktorku, w tym świecie im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie – podsumował Neil, opierając łokcie na blacie. – Jeszcze niedawno posługiwaliśmy się fałszywymi dokumentami. I co z tego wyszło? Nic. Możliwe, że zaraz i tak będziemy potrzebować nowych papierów.

Benjamin objął się ramionami. Choć nic nie powiedział, Alberto przekrzywił głowę i przyjrzał mu się z uwagą i nieznaną nam dotąd... łagodnością.

– Od jak dawna należysz do Malbatu? – zapytał.

– Od kilkunastu dni.

– To wiele wyjaśnia – skwitował szczerze. – Jaka jest twoja historia?

Doktorek momentalnie się ożywił, jakby to, że wreszcie może się komuś poskarżyć, nadało jego życiu sens. Wyprostował się i wycelował palcem najpierw w Neila, a chwilę później w Masona, niemalże trzęsąc się z podekscytowania.

– Ta dwójka mnie uprowadziła, proszę pana – powiedział, zadzierając triumfalnie podbródek.

Kąciki ust Alberta zadrżały.

– Mogę wiedzieć, w jakim celu?

– Potrzebowaliśmy lekarza, żeby uratować Christiana – wyjaśnił niewzruszony Gruby. – Linus go dopadł i trochę biedaczek podupadł na zdrowiu.

Mężczyzna zerknął na mojego udawanego męża, marszcząc brwi w zadumie.

Cóż, musiał podejrzewać, że sprawa nie jest błaha, skoro Christian postanowił się z nim skontaktować, ale bądźmy szczerzy – zaczęliśmy z grubej rury. Porwania, tortury... Niech jeszcze któryś powie, że Linus zginął z mojej ręki.

– A co się stało z tym Linusem? – Alberto chyba czytał mi w myślach.

Neil klasnął.

– O, to jest dobra historia!

No cholera!

– Słucham.

– Alice strzeliła mu w dupę – zarechotał, jakby było z czego żartować.

– Neil... – jęknęłam, czując, że policzki pieką mnie ze wstydu.

Alberto zagwizdał z uznaniem.

– Kreatywnie – podsumował i delikatnie się uśmiechnął. – O całej sytuacji związanej z Perssonami porozmawiamy jednak później. – Kątem oka zerknął na Liama, odkaslnął i zaczął o wiele poważniejszym tonem: – Jak pewnie wiecie, należałem kiedyś do Malbatu. Moje stosunki z Hammerem były jednak dość burzliwe, więc nasze drogi się rozeszły. Ostatnia wspólna misja miała miejsce we włoskim porcie Livorno. Później odszedłem, zostawiając swoją rodzinę.

– Uciekłeś? – zapytała Astrid prosto z mostu.

– Niezupełnie.

– To znaczy?

Westchnął, przesunął kciukiem po dolnej wardze i odczekał chwilę, nim ponownie zabrał głos.

– Zostałem złapany przez policję.

– Więc odsiadywałeś wyrok?

– Nie, Astrid – odpowiadał spokojnie, bez cienia irytacji, dając nam do zrozumienia, że ta dociekliwość ani trochę go nie drażni. – Zostałem świadkiem koronnym.

Przyjaciółka wytrzeszczyła oczy. Zresztą nie ona jedna – sama nie byłam pewna, czy ciśnienie w moich gałkach ocznych nadal mieści się w normie.

– Donosiłeś na Malbat?! – warknęła.

– Pogięło cię? – prychnął Christian, niemal oburzony. – Oczywiście, że nie. Wręcz przeciwnie. Alberto robił wszystko, żeby odciągnąć policję od naszej rodziny. Nakierowywał ich na Black Souls.

Starszy mężczyzna pomasaował sobie kark.

– To prawda – przyznał niechętnie. – Choć nawet z tego nie jestem dumny. Każda współpraca z policją wywoływała we mnie mieszane uczucia, ale dzięki temu dostałem nowe dokumenty, mieszkanie i ochronę. A tego właśnie potrzebowałem, by stanąć na nogi i nie zgnieć w pierdłu.

Benny znów uniósł rękę, tym razem nieśmiało.

– Chyba nie rozumiem... Zamiast trafić do więzienia, pomagałeś policji?

– Na tym właśnie polega status świadka koronnego, młotku.

– Neil – upomniał go ostro Alberto, a następnie znów popatrzył na Benjamin. – Tak, gdyby nie telefon od Christiana, wciąż żyłbym pod ochroną psów. Dbali o to, żeby nikt mnie nie sprzątnął za donosicielstwo, choć w zasadzie nie było takiej potrzeby. Ludzie z Black Souls nawet nie wiedzą, że żyję. Policja zgarnęła mnie lata temu podczas strzelaniny w porcie. Poszła plotka, że zostałem zamordowany przez lokalną mafię, i tego wszyscy się trzymali.

Niewiarygodne. Nawet mnie wciśnięto ten kit, gdy dawno temu Christian opowiadał mi o Mary i jej rzekomo zmarłym mężu. Nigdy bym nie przypuszczała, że Alberto ma się świetnie. Ba, mało tego – że okaże się naszą jedyną nadzieją w walce z Perssonem.

– Więc zamiast pomóc policji w dotarciu do Malbatu... – główkował Benjamin.

– Robiłem wszystko, żeby moja rodzina była bezpieczna, a całą uwagę organów ścigania skupiałem na ludziach z Black Souls.

– Geniusz zła – szepnął Mason, zabawnie poruszając brwiami.

– Więc jakim cudem znalazłeś się tutaj? – Astrid wlepiła w mężczyznę zafascynowane spojrzenie. – I kim są ludzie, którzy z tobą przyjechali?

– Uciekłem, gdy dowiedziałem się, że macie problem. A ci ludzie to moja zaufana ekipa. – Zaśmiał się cicho. Sposób, w jaki to powiedział, jasno wskazywał, że lata współpracy z policją niewiele zmieniły w jego gangsterskich nawykach. Wydawało mi się, że nadal myśli kategoriami lojalności, długów i właściwych kontaktów. – W trakcie programu ochrony poznałem odpowiednie osoby, dlatego

dobrze wiedziałem, kogo poprosić o pomoc – dodał. – Po rozmowie z Christianem spakowałem się i przyjechałem.

Zdumienie odebrało mi głos. Jego poświęcenie wywarło na mnie takie wrażenie, że przez chwilę nie potrafiłam zebrać myśli. Aż w końcu została tylko jedna – jasna i niepodważalna.

Nie zamieniłabym swojej rodziny za żadne skarby świata.

– Czy wszystko jest już dla was jasne? – zapytał Alberto, krzyżując ręce na umięśnionej piersi.

– Jeszcze jedno pytanie – odezwała się Astrid.

– Tak?

– Co się stało z Mary?

Och, Mary...

Na dźwięk jej imienia coś ścisnęło mnie w środku. Zaginęła bez śladu tuż po tym, jak próbowała ostrzec nas przed Hammerem. To, czy uciekła i rozpoczęła nowe życie, czy została skrzywdzona, wciąż pozostawało dla nas zagadką.

Alberto westchnął głęboko.

– Niestety nie wiem – odparł.

– Myślisz, że...

– Nie mam pojęcia – przerwał Astrid, dobrze wiedząc, o co chce zapytać. – Nasze małżeństwo zakończyło się w chwili, gdy musiałem zostawić Malbat. Nie mogliśmy się kontaktować, byłoby to zbyt niebezpieczne dla nas wszystkich. Kilka razy próbowała do mnie dzwonić, wymieniliśmy parę wiadomości, ale oboje wiedzieliśmy, że na dłuższą metę to nie ma sensu.

– Później zaczęła... – Rachel urwała wypowiedź i znieruchomiała, zapewne uświadomiwszy sobie, że nie powinna była w ogóle zaczynać tak drażliwego tematu.

Mężczyzna okazał się jednak jeszcze bystrzejszy, niż przypuszczałam. Od razu dostrzegł jej zaczerwienione policzki i zakłopotanie wymalowane na twarzy, uśmiechnął się łagodnie i dokończył:

– Sypiać z Hammerem?

– Mhm.

– Wiem. Każdy próbował przetrwać na swój sposób, prawda?

Odpowiedzieliśmy mu wymownym milczeniem, bo... miał rację. Mafijny świat potrafił być brudny, okrutny i bezlitosny.

– A jak z policją? – Rachel zwinnie zmieniła kierunek rozmowy. – Nie będą cię szukać?

Alberto uśmiechnął się z figlarnym błyskiem w oku, przez ułamek sekundy przypominał mi Christiana, Neila albo Masona.

– Niech szukają. – Wzruszył lekceważąco ramionami. – Radziłem sobie z nimi przez lata, więc i teraz dam radę.

Mężczyźni pokiwali głowami z zadowoleniem; nawet ja musiałam przyznać, że słowa Alberta mnie przekonały. Czułam coraz większą ulgę – wreszcie pojawił się ktoś, kto naprawdę mógł nam pomóc. Niepokój towarzyszący mi przed spotkaniem powoli ustępował miejsca poczuciu bezpieczeństwa. Nasz nowy szef miał w sobie te cechy, których nigdy nie dostrzegłam u Hammera – wrodzoną dobroć, spokój i siłę. W dodatku nie musiał posuwać się do przemocy czy terroru, by być szanowanym.

Liam, najwyraźniej znudzony rozmową dorosłych, zaczął się niespokojnie wiercić. Gdy pod stołem dostrzegł drzemiącą suczkę Neila, zsunął się z kolan taty i zniknął nam z oczu.

– Co to jest? – Alberto zmrużył powieki i przyłożył sobie palec do piersi, patrząc wprost na Christiana.

Mój udawany mąż zerknął ze zdziwieniem na swój tors, a gdy zrozumiał, że chodzi o opatrunek na jego klatce piersiowej, machnął ręką.

– Ach, to nic takiego. Pamiątka po spotkaniu z Linusem.

– Pokaż.

Christian posłusznie złapał za brzeg koszulki i ściągnął ją przez głowę, odsłaniając ciało, które zazwyczaj oglądałam tylko ja.

Zadrapania po wypadku samochodowym, wcześniej pokrywające niemal cały brzuch, na szczęście zdążyły już zniknąć. Nieco wyżej plastry maskowały gojące się rany po nożach. Tylko paskudne, babrzące się ślady po przypalaniu wciąż były cholernie widoczne.

Alberto wciągnął powietrze przez nos i zatrzymał je w płucach, przyglądając się Christianowi takim wzrokiem, że gdybym wcześniej nie zabiła Linusa, pewnie zaraz rzuciłby się za nim w pogoń, by odplacić mu się tym samym.

– Zostanę ci blizny – odezwał się nagle Mason iście lekarskim tonem. – Ale nie martw się, zaprojektuję ci zajebisty tatuaż, to sobie je zakryjesz.

– Niech cię chuj strzeli z tymi twoimi tatuażami. – Neil przewrócił oczami.

– Więcej nie popełnię tego błędu i nie dam ci wybrać wzoru – mruknął Christian.

– Nie przesadzajcie, nie jest taki zły.

– Nie jest zły? – prychnął blondyn. – Jest tragiczny.

– Macie tatuaże? – Benjamin uniósł brwi, wodząc wzrokiem po rękach i nogach mężczyzn w poszukiwaniu jakiegoś wzoru. – Gdzie?

– Na dupie – westchnął mój udawany mąż.

– Bardzo śmieszne. – Alberto zerknął na Christiana z dezaprobatą. – No powiedz mu. Co ci szkodzi?

– On mówi serio – zarechotał Mason, wstając z miejsca. – Na dupie. – Mówiąc to, bez żadnych skrępowań zsunął spodnie, wypiął wielki tyłek i klepnął się po pośladku, gdzie lśniło absolutnie znieprawdzone przez Christiana i Neila arcydzieło.

W pierwszej chwili przy stole zapanowała cisza. Chwilę później ściany zaczęły się od śmiechu. Nikt jednak nie odezwał się słowem – nasze komentarze okazały się zbędne, bo Alberto swoim wyrazem twarzy... powiedział wszystko.
Witamy w Malbacie.

Alberto nie próbował zatrzymywać nas przy stole. Rozproszyliśmy się po całym salonie, a on z lekkim uśmiechem na ustach śledził nas wzrokiem, zupełnie jakby wspominał dawne czasy, kiedy należał do Malbatu. Kiedy miał przy sobie swoich bliskich.

– Dobra, dzieciaki, czy ktoś może mi wyjaśnić jedną rzecz? – zapytał niespodziewanie, przyglądając się czemuś z dziwnym, nieco skonfundowanym wyrazem twarzy.

Wyciągnęłam szyję, by dojrzeć obiekt jego zainteresowania, ale niczego nie zauważyłam.

– Tak? – Uśmiechnęłam się ciepło.

– Co to, kurwa, ma być?

Z jakiegoś powodu nie musiałam nawet widzieć pupilka Christiana, by mieć pewność, że to o niego chodzi.

– To kiwi plamisty – odpowiedział Neil, jakby zdradzał rasę pospolitego psa, a nie skradzionego ptaka. Na widok zszokowanej miny Alberta westchnął ostentacyjnie i dodał: – Otacza mnie banda niewydukowanych sztywniaków. Alice też się zdziwiła, kiedy ją zobaczyła.

Furia zatrzepotała skrzydłami i ruszyła przed siebie, stawiając pokraczne kroki.

– Po cholere wam to? – Alberto podrapał się po skroni.

Świetne pytanie. Też chętnie się dowiem.

Rozwalony na kanapie Christian wyszczerzył zęby i dwa razy pstryknął palcami. Nie miałam pojęcia, jak wytresował to dziwactwo z wielkim, ostrym dziobem, ale Furia w okamgnieniu znalazła się przy nim.

– To moje ukochane zwierzątko – oznajmił z dumą, podnosząc ptaka, i posadził go sobie na udach.

Odsunęłam się o kilka centymetrów. Wolałam nie ryzykować – Furia potrafiła być zazdrosna, kiedy ktoś zbliżał się do Christiana. Kiedyś prawie przeździurawiła mi dłoń na wylot.

– Więc jej pilnuj – mruknął Mason, łypiąc na ptaszora ze ściągniętymi brwiami. – Ostatnio nie mogłem spać, bo wchodziła mi na głowę.

– Pomyliła twój łeb z jajkiem – zaśmiał się Neil.

– Nie chcę, żeby co noc mnie wysiadywała, do cholery.

– No już się nie czepiaj, Gruby – mruknął Christian, gładząc zwierzątko po łebku. – A ty, Furia, nie zbliżaj się do tego gościa, bo skończysz w piekarniku.

– Skoro już mowa o jedzeniu...

– Nikt tu nie mówił o jedzeniu, Mason. – Rzuciłam mu spojrzenie pełne politowania.

– Ale ja jestem głody.

– Przecież przed chwilą jedliśmy śniadanie – zauważyłam.

– No właśnie, więc czas na obiad. – Gruby klasnął z entuzjazmem. – Kto dziś gotuje?

Nancy przyłożyła palec do brody.

– Zjadłabym spaghetti – odezwała się, a gdy nikt nie zaprotestował, bo któż śmiałyby się sprzeciwić ciężarnej kobiecie, dokończyła: – Ale nie mamy mięsa.

– Ani składników do sosu.

– Tak właściwie to mamy tylko makaron – parsknęła Astrid. – Możemy zjeść jajka z bekonem.

– Nie możemy, zjedliśmy wszystkie na śniadanie – westchnęłam.

Alberto przez cały czas przysłuchiwał się naszej rozmowie. Nie odezwał się nawet, gdy w salonie zapanowała przynębiająca cisza. Dobrze wiedzieliśmy, co powinniśmy zrobić, ale bądźmy szczerzy – żadne z nas nie miało odwagi poruszyć tematu wyjścia z willi. W porównaniu z tym, co planował zrobić nam Edvard, wizja śmierci głodowej wydawała się niemal optymistyczna.

Wreszcie dowódca oparł bark o ścianę, skrzyżował nogi w kostkach i – pojąwszy, że już niczego sensownego się od nas nie dowie – zapytał:

– Kiedy ostatni raz byliście w sklepie?

– Nie wiem – burknął Christian, uciekając wzrokiem w bok, jakby fakt, że od czasu ostatniej rozmowy z Edvardem baliśmy się wyściubić nosy z domu, stanowił powód do wstydu. – Parę dni temu.

– Nie jesteście zbyt chętni, by opuszczać tę willę, prawda?

– Żeby nas zastrzelili przy pierwszej okazji? – wymamrotała cicho Rachel. – Dziękuję bardzo za takie atrakcje. Wolę przeżyć.

Alberto powoli pokiwał głową.

– Edvard Persson wpędził was w emocjonalną pułapkę, a wy daliście się zaszczyć. – Uśmiechnął się delikatnie, ze współczuciem.

Rozejrzałam się po salonie. Dopiero gdy miałam pewność, że siedzący przy stole Liam jest całkowicie pochłonięty budowaniem zamku z klocków, zebrałam się na odwagę, by dołączyć do dyskusji.

– Groził nam śmiercią – szepnęłam.

– On chce, żebyście czuli lęk. Poddaliście się.

– To co mamy zrobić? – Mason rozłożył ręce. – Funkcjonować jak gdyby nigdy nic?

– Edmund tylko czeka, aż stracimy czujność.

Alberto uniósł brew i lekko przechylił głowę.

– Kto?

– Edvard – sprostował Neil.

– Nie tracimy czujności, ale pokażemy mu, że nie ma nad nami kontroli.

– Niby jak? – westchnęłam ani trochę nieprzekonana.

Alberto popatrzył na mnie przenikliwie i puścił do mnie oko, na co od razu się spięłam.

– Pojedziesz na zakupy, Alice.

– Ja?!

– Ona?! – Christian wyglądał na równie niezadowolonego z tego pomysłu.

– Dlaczego właśnie Alice?

– A dlaczego nie? – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Przestańcie się bać. Nic wam nie grozi, dopóki pilnują was moi ludzie.

– Ufam im, ale lepiej wyślij Neila. – Mój przyszły mąż nie odpuszczał.

Alberto uniósł kąciki ust i skinął, przystając na jego propozycję.

– W porządku. Neil pojedzie razem z Alice.

– Nie o to mi chodziło – syknął poirytowany Christian. – I nie ma mowy, ja z nią pojadę.

– Ty jesteś potrzebny tutaj, a Neil to twój przyjaciel. Nie wierzysz, że zadba o bezpieczeństwo twojej kobiety?

– Gdyby jeszcze Neil umiał zadbać o własne bezpieczeństwo – parsknął Mason. – Przecież to chodząca żywa tarcza, która wręcz krzyczy: „Zabijcie mnie, kurwa!”.

Rachel, Astrid i Nancy zachichotały pod nosem, a Christian popatrzył błagalnie na Alberta.

– Widzisz? – zapytał, wskazując na rozbawionego blondyna. – On się nie nadaje!

– Sam się nie nadajesz. Chętnie zabiorę Alice na zakupy.

– Neil, to nie jest zabawne – jęknęłam. – Wolałabym zostać w domu.

Alberto wyprostował plecy, a następnie podszedł bliżej i uklęknął przede mną, opierając łokieć na kolanie.

– Alice, dziecko – zaczął tak łagodnie, że przyjemne ciarki przebiegły mi wzdłuż kręgosłupa. – Czego się boisz?

Z trudem przełknęłam ślinę. Choć pytanie było proste, odpowiedź okazała się cholernie skomplikowana.

– Śmierci – wydukałam, czując, jak gardło boleśnie mi się zaciska. – Boję się, że Edvard nas zabije.

Alberto chwycił moją dłoń i delikatnie pogładził jej wierzch kciukiem. Ten z pozoru drobny gest znaczył dla mnie tak wiele...

– Doskonale cię rozumiem – rzekł spokojnie. – Chcę jednak, żebyś wiedziała, że nic wam nie zagraża. Z pewnością przyjdą jeszcze trudne chwile i wtedy nie pozwolę wam na niepotrzebne ryzyko, ale teraz jestem przekonany, że jadąc do sklepu, będziecie bezpieczni.

– Na pewno?

– Nie wypuściłbym was z domu, gdybym nie miał stuprocentowej pewności.

Uśmiechnęłam się nieśmiało, chłonąc każde jego słowo. Dlaczego tak bardzo mu ufałam? Miał w sobie coś, czego od dawna brakowało w Malbacie: rozsądek, opanowanie i ogromne pokłady ciepła.

– Pojadę – zdecydowałam pewnym głosem.

Szef zamrugnął z zadowoleniem, natomiast Collins wydał z siebie przeciągłe jęknięcie.

– Nie musisz tego robić.

– Wiem. – Popatrzyłam Christianowi prosto w oczy. – Ale chcę. Pokażę Edwardowi, że nie może nami sterować.

– No! To mi się podoba! – Neil klasnął i zeskoczył z kanapy, gotowy do wyjścia.

– Wyślę z wami swojego najlepszego ochroniarza.

Alberto puścił moją rękę, po czym stanął i sięgnął do tylnej kieszeni, by już po chwili wyciągnąć z niej małą krótkofalówkę. Przycisnął czarny guzik, a kilka sekund później rozległ się lekko zachrypnięty głos.

– Tak, szefie?

– Mamut, pozwól na chwilę – rzucił i od razu się rozłączył.

– Mamut? – zarechotał Neil. – Co to za dziwne przezwisko?

Mężczyzna nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym samym momencie usłyszeliśmy dźwięk otwieranych i zatrzaskiwanych drzwi. Odwróciliśmy się w stronę korytarza, oczekując gościa, który miał towarzyszyć nam w drodze do sklepu.

– Tutaj! – przywołał go Alberto.

W jednej chwili przestrzeń w salonie wypełnił człowiek, który wyglądał jak chodząca ściana. Przewyższał Christiana, Neila i Masona co najmniej o głowę. Był też znacznie szerszy – a to naprawdę imponujące, biorąc pod uwagę, że wszyscy mężczyźni w Malbacie byli mocno napakowani. Mason przypominał giganta, ale Mamut wyglądał na o wiele potężniejszego od niego.

Mimowolnie wytrzeszczyłam oczy.

– No, to już wiesz, dlaczego Mamut. – Alberto poklepał Neila po policzku, gdy ten stał oniemiały, gapiąc się na przybysza. Następnie zwrócił się do ochroniarza: – Zabierzesz tę dwójkę na zakupy.

Mamut dopiero wtedy odwrócił wzrok od szefa i przeniósł go na nas. Kąciki jego ust lekko się uniosły, nie na tyle, by można to nazwać uśmiechem, lecz wystarczająco, żebym wyczuła, że podoba mu się ten pomysł.

Pewnie znudził się już beczynnym siedzeniem i obserwowaniem willi.

– Alice – odezwał się Alberto z powagą. – Zaraz wyjdziecie z tego domu i pojedziecie do samochodu, dobrze? Będziecie iść spokojnie, z klasą i dumnie uniesionymi głowami. Nie biegnijcie, nie okazujcie lęku, nie dawajcie kutasowi satysfakcji, że się go boicie. Jasne?

Wciągnęłam powietrze, prostując plecy.

– Jasne. – Zasalutowałam, gotowa stawić czoła cholernemu Perssonowi.

– A, zapomniałbym. – Puścił do mnie oko. – Pilnuj Neila. I naucz go robić zakupy w cywilizowany sposób.

– Spróbuję, choć zazwyczaj nie podejmuję się misji niemożliwych – parsknęłam, zerkając z wyższością i rozbawieniem na blondyna.

Cały lęk zdążył ze mnie ulecieć. Czułam, że mogę wszystko – przecież mieliśmy u boku zaufanego ochroniarza. Niby co złego mogło się wydarzyć? Ten facet na pewno nie pozwoliłby nas skrzywdzić; musiał mieć łeb na karku, skoro pracował dla Alberta.

Z dziarskim uśmiechem ruszyłam w stronę stołu. Przed wyjściem chciałam pocałować Liama na pożegnanie, ale zatrzymałam się w połowie drogi, gdy zza pleców dobiegł mnie rozemocjonowany głos Mamuta:

– Ożeż w mordę! Co to za zajebista kaczka?! – zawołał, gapiąc się na Furię, która przebiegła mu przed nogami.

★★★

Zakupy z Neilem przypominały istny rollercoaster.

W jednej chwili śmialiśmy się do bólu brzucha, gdy gość – przebrany za maskotkę lokalnej mleczarni i mający za zadanie reklamować sery – wyróżnił się w alejce na mokrej podłodze. Pięć minut później mój przyjaciel prawie rozwalił szklane drzwi od lodówki, próbując je przesunąć w niewłaściwym kierunku. Pod koniec, kiedy byliśmy już prawie przy kasach, pewien facet trącił mnie w bark i choć zrobił to celowo, o czym doskonale wiedziałam, nie do końca pochwalałam zachowanie Neila, który sprzedał mu cios pięścią w brzuch, a później zaciągnął go na dział z zamrażarkami, grożąc, że następnym razem on również skończy jako mrożonka, ale w prosektorium.

Wreszcie dotarliśmy do kasy i zaczęliśmy wykladać zakupy na taśmę. Byłam cholernie dumna z przyjaciela – udało mu się nikogo nie zabić.

Małe sukcesy jednak cieszą najbardziej...

– Karta stałego klienta? – zapytała ekspedientka.

– Nie – odpowiedział Neil po angielsku, nawet nie patrząc na kobietę. Zajęty był klikaniem w telefon.

– Zbiera pan punkty?

Blondyn zamrugał, jakby został oderwany od czegoś ważnego, co pewnie było jakąś głupią grą, i uniósł wzrok na kobietę.

– Słucham?

– Pytałam, czy zbiera pan punkty?

– Nie.

– Gdyby chciał pan zacząć, to polecam założyć...

– Nie, dziękuję.

Ekspedientka skasowała kolejne trzy rzeczy i odezwała się ponownie:

– Może coś z naszego koszyczka promocyjnego?

– Nie.

Oho, usłyszałam ten ton, po którym na czole Neila zwykle pojawia się gruba, pulsująca żyła. Niedobrze.

– Jest pan pewien? Batoniki proteinowe, orzeszki w cze...

– Jestem. – Wciągnął i wypuścił powietrze przez nos. – Jestem pewien.

– Mamy pięćdziesiąt procent zniżki na tampony. Jeśli pan potrzebuje, to...

– Tak. – Pokiwał sztywno głową. – Zdecydowanie potrzebuję tamponów, że-bym mógł je sobie wsadzić w du...

– Neil – szepnęłam, posyłając mu błagalne spojrzenie.

Mój przyjaciel opuścił głowę i przetaił twarz dłonią.

– Nie, dziękuję – mruknął, nie podnosząc wzroku.

– Polecam też szampon.

– Nie.

– Doliczyć reklamówkę?

– Poproszę.

– Plastikową czy ekologiczną?

O, jest i ona. Żyła na skroni zwiastująca apokalipsę.

I tak był dzielny, wytrzymał prawie do końca zakupów.

– Obojętnie – wycedził przez zęby.

– Więc policzę plastikową.

– W porządku.

– Jest pan pewien, że nie chce karty stałego klienta?

– Tak.

– Z kartą miałby pan ekologiczne reklamówki za darmo, a plastikowe za trzy korony i...

– No kurwa! – Głowa Neila podskoczyła, a jego spojrzenie natychmiast spo-częło na ekspedientce, która raptownie się wyprostowała i zaniemówiła zasko-czona. – Odpierdolisz się czy nie?!

Zakryłam usta dłonią, by nie wybuchnąć śmiechem, i poprzysięgåłam sobie, że na następne zakupy też jadę z tym idiotą.

Neil zaczął zgarniać skasowane produkty, nie czekając, aż kobieta wreszcie oprzytomnieje i poda mu reklamówkę.

– Ja pierdołę, co za agresywny marketing – prychnął na odchodne.

Gdy podjechaliśmy pod willę, odruchowo omiotłam wzrokiem wszystkie auta.

Byłam święcie przekonana, że któregoś brakuje, ale Alberto nie wspominał nic o opuszczaniu domu przez innych członków Malbatu.

Mamut i Neil zabrali z samochodu zakupy, których było tyle, że powinni zrobić dwie rundy, ale mój przyjaciel stwierdził: „Prędej się zesram, niż będę dygał dwa razy”. No i tak właśnie wyglądali – jakby obaj mieli się posrać, ale ostatecznie udało im się dotaszczyć pakunki do holu.

– Jesteśmy! – zawołałam, jednak nikt mi nie odpowiedział.

Jedynym dźwiękiem, jaki do nas dotarł, były kroki. Męskie, niepokojąco szybko stawiane kroki.

Christian wyłonił się zza rogu, wyminął mnie i podszedł do Neila.

– Stary, tylko się nie denerwuj.

Blondyn zmarszczył brwi, gdy przyjaciel położył mu dłoń na ramieniu.

– Co się stało? – zapytał.

Parę sekund później dołączyli do nas pozostali domownicy.

– Nancy jest w szpitalu – wyjaśnił Christian.

– Co?! W którym?! – Neil cofnął się do drzwi, gotowy wybiec z domu. – Rodzi? Tak szybko?

– Uspokój się. – Głos Alberta łączył w sobie władzę i spokój. – Nie rodzi. Bolał ją brzuch, więc Mason zabrał ją do najbliższego szpitala w Sztokholmie. Benny wykonał kilka badań, ale uznał, że najbezpieczniej dla niej i dziecka będzie skonsultować te dolegliwości z lekarzem w bardziej dogodnych warunkach.

Moje serce rozszalało się w piersi. Odnosiłam wrażenie, że swoim łomotem zaraz rozkruszy żebra.

– Ale nic jej nie będzie, prawda? – Popatrzyłam z przerażeniem na twarze bliskich. – Z maleństwem też nie?

– Musimy poczekać na jakieś informacje – odezwała się cicho Rachel. – Wyjechali już jakiś czas temu, niedługo powinni się odezwać.

– Jezu... – Neil przyłożył sobie rękę do ust. – Muszę do niej jechać.

Alberto popatrzył na niego ze szczerym smutkiem.

– Wolałbym, żebyś został tutaj. Jesteś zdenerwowany, nie powinienes prowadzić.

– Więc niech Mamut mnie zawiezie.

Facet podrapał się po karku i zerknął na szefa, wyczekując rozkazu.

– Niech będzie – zgodził się Alberto – ale uważajcie na siebie i... – Wypowiedź mężczyzny przerwał stłumiony dźwięk... wibrowania?

Wszyscy równocześnie zaczęliśmy klepać się po kieszeniach i rozglądać na boki.

– To nie mój – powiedziała Astrid, unosząc swój telefon.

– Mój też nie.

– Ani mój... – wymamrotał Neil, zbliżając się do rzędu równo rozmieszczonych, eleganckich haczyków, na których piętrzyły się nasze kurtki. – Cholera, to z płaszcza Nancy.

– Nie zabrała komórki?

– Na to wygląda.

Neil wsunął dłoń do kieszeni i wyciągnął iPhone’a w różowym etui. Następnie zerknął na wyświetlacz, niespodziewanie zbladł, a ja... ja już wiedziałam.

Żółć podeszła mi do gardła.

– Odbierz – rzucił Alberto, również pojawiający się z nami skontaktować.

Palec blondyna przemknął po ekranie. Przez chwilę hol wypełniała gęsta, niemal trująca cisza, aż wreszcie usłyszeliśmy zachrypnięty, odrażający głos Edvarda Perssona.

– Jak się udały zakupy?

Jedno pytanie, cztery słowa. Tak niewiele wystarczyło, bym zaczęła się trząść. Ten potwór nawet na odległość potrafił doprowadzić mnie do paniki – na pstryknięcie palca odbierał mi tlen, sterował mną jak przerażoną marionetką.

– Co jest, do cholery? – Astrid nerwowo wyjrzała przez okno, by omieść wzrokiem podjazd i kawałek trawnika.

Persson zaśmiał się wprost do słuchawki.

– Zdziwiona? Przecież mówiłem, że śledzę każdy wasz ruch. Moja biedna żona chyba źle się poczuła, prawda?

Nogi się pode mną ugięły. Gdyby nie stojący obok Benjamin, runęłabym na podłogę, całkowicie zdjeta uczuciem rozpacz.

Nie, nie... To niemożliwe...

– Słuchaj, kurwa – warknął Christian, wyrwawszy zamroczonemu Neilowi telefon. – Jeżeli zrobiłeś coś Nancy...

– Ja? – rzucił z teatralnym zdziwieniem. – A cóż ja mogę?

Alberto zacisnął pięści. Mięśnie na jego ramionach napięły się agresywnie, a w spojrzeniu zapłonęła dzika, ledwie powstrzymywana furia.

– Czego chcesz? – zapytał zatrzważającym tonem.

Edvard zacmokał z zadowoleniem.

– Z kim mam przyjemność rozmawiać?

– Z kimś, do kogo nigdy nie powinieneś być dzwonić. To twój koniec, Persson.

Mężczyzna odpowiedział demonicznym rechotem.

– Mój koniec? Myślisz, że dasz radę ich uratować? – Edvard brzmiał, jakby naprawdę był rozbawiony. – Dobrze wiem, że twoi ludzie mają na oku cały mój zespół. I niechętnie muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem sprzętu, którym dysponujesz. Nie będę ukrywać, zaimponowałeś mi.

– Przejdź do rzeczy, nie mam całego dnia.

– Zmierzam do tego, że zadbałeś prawie o wszystko. Nawet te czujniki ruchu wokół mojej willi nieco mnie zaskoczyły, gratuluję. A wycieczka pani Morgan i mojego szwagra do sklepu? Towarzyszący im ochroniarz był uzbrojony po zęby, a w dupie miał pewnie wyrzutnię rakiet. – Zatrzymał się na chwilę, dając nam czas na komentarz. My jednak zgodnie milczeliśmy, więc kontynuował

z obrzydliwą, wymuszoną swobodą: – Ale sam zapewne wiesz, że człowiek zachowuje się inaczej w silnym stresie i w niezaplanowanych sytuacjach, prawda? A złe samopoczucie biednej Nancy do takich się właśnie zalicza. Musiałeś więc popełnić jakiś błąd...

– Nancy i Mason również pojechali z obstawą – odwarknął Alberto pewnym głosem przepełnionym taką nienawiścią, że włosy na całym ciele stanęły mi dęba. – Nie łudź się, że zdołasz zrobić im krzywdę.

– Nie żartuj sobie – parsknął Edvard złośliwie. – Co niby mógłbym im zrobić? Ja? Sam?

– Więc po co dzwonisz? – odezwał się wreszcie Neil.

– O, mój szwagier! – Mężczyzna prowokacyjnie zaklaskał. – Nie oglądasz wiadomości?

– Nie, kurwa.

– A powinienes.

– Bo?

– Włącz... – przerwał na moment, najwyraźniej czegoś szukając. Po drugiej stronie słuchawki rozległy się szmery i trzaski. – Już mam – oznajmił wesoło.

– Kanał drugi.

Spojrzelśmy po sobie zdezorientowani i ruszyliśmy do salonu. Wściekłość wręcz we mnie kipiała – Persson znów ustalał zasady gry, a my byliśmy pionkami.

Nim przekroczyliśmy próg pokoju, Alberto wyjął krótkofalówkę.

– Salon.

– Przyjąłem – padło w odpowiedzi.

Mogłam się tylko domyślić, że kazał komuś pilnować tej części domu na wypadek, gdyby zebranie nas wszystkich w jednym pomieszczeniu okazało się pułapką Perssona.

Nikt jednak nie otworzył ognia, okna pozostały całe.

Chodziło więc o coś innego. Sama myśl o tym, do czego ten kutas może się posunąć, przyprawiała mnie o mdłości.

Rachel włączyła telewizor, a następnie, nerwowo przygryzając opuszkę kciuka, skakała po kanałach, aż znalazła ten właściwy.

– Reklamy – zwróciła się do Alberta.

– Słyszałeś, debilu?

– Słyszałem, Neil – odrzekł kompletnie nieprzejęty Edvard. – Cierpliwości.

Pod powiekami czułam piekące łyzy bezsilności. Nie było jednak mowy, że-
bym rozplakała się przy Liamie. Cholera, nie spodziewałam się, że wciąż będzie siedział przy stole, i nie miałam pojęcia, czy powinnam go stamtąd prze-
gonić, czy pozwolić mu dalej bawić się w spokoju.

– Ty skurwysynu, coś ty zrobił... – zachrypnięty głos Christiana błyskawicznie ściągnął mnie na ziemię.

W jednej chwili wszystkie problemy z wychowaniem synka, które jeszcze przed chwilą zaprzętały mi głowę, wydały się błahe wobec tego, co zgotował nam Persson.

– Nie, nie, nie... – Neil kręcił głową i powtarzał te słowa jak mantrę. Kompletnie go odcięło, po prostu tępo gapił się w ekran i nie reagował nawet na głośny, złowrogi i przesycony zemstą śmiech Perssona.

– Niespodzianka – rzucił drwiąco, nim połączenie zostało przerwane.

Nie słyszałam słów prezenterki telewizyjnej. Zagłuszyły ją płacz Rachel, podenerwowane głosy Alberta i Christiana oraz krew szumiąca mi w uszach.

Potrafiłem jednak przeczytać napis, który przewijał się na wielkim, czerwonym pasku:

Obława policyjna w Sztokholmie

Anonimowy świadek rozpoznał kobietę i mężczyznę, którzy prawdopodobnie należą do zorganizowanej grupy przestępczej, niegdyś działającej w Stanach Zjednoczonych.

Jeżeli szwedzka policja rzeczywiście ujęła poszukiwanych od ponad trzech lat przestępców, zostanie to uznane za ogromny sukces operacyjny o znaczeniu międzynarodowym.

Podejrzani zostali przetransportowani do aresztu śledczego, gdzie wkrótce prokuratura potwierdzi ich tożsamość.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Po ostatnich wydarzeniach członkowie Malbatu wpadają w spiralę strachu.

Zamknięci w murach willi, odcięci od świata, doskonale wiedzą, że tym razem sami sobie nie poradzą. Muszą się skontaktować z dawnym znajomym – jedyną osobą, która może ich uratować.

Mężczyzna bez wahania wkracza do mafijnego świata. Na początku Alice nie potrafi mu w pełni zaufać, ale szybko dostrzega, że ten człowiek traktuje ich jak własne dzieci i gotów jest stanąć za nimi murem – nawet jeśli oznacza to narażenie własnego życia.

W członkach odrodzonej z popiołów mafii budzą się najmroczniejsze demony. Zrobią wszystko, by uchronić swoją rodzinę przed czyhającym na nią niebezpieczeństwem...

Tylko co, jeśli wróg jest bliżej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać?

Kontynuacja powieści MALBAT znaczy rodzina i MALBAT znaczy zemsta
– mrocznych thrillerów z elementami romansu mafijnego

PATRONI MEDIALNI:



ebook dostępny na:

ebookpoint

edina
REV

beyA 18+
beya.pl

ISBN 978-83-289-3790-1



9 788328 937901

cena: 54,90 zł